Nr. 39. We Lwowie, Poniedziałek dnia 29. września. 1890

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO".

Cherchez la femme...

Mermeix, autor „Kulis bulanżyzmu", stał się bohaterem dnia w tym nowym Babilonie, który szuka bezustannie nowych wrażeń za jakąkolwiek cenę. Dotychczas, mimo pompatycznej sceny trybunału państwowego, który uznał jenerała zdrajcą stanu, gęsta zasłona tajemniczości osłaniała szczegóły całej sprawy i trzeba było dopiero odstępstwa jednego z jej szermierzy, by ogół przekonał się naocznie o intrydze, mającej na celu obalenie rzeczypospolitej. „Kulisy" zawierają bez porównania daleko ciekawsze szczegóły o zamierzonym zamachu stanu, aniżeli akt oskarzenia jeneralnego prokuratora de Beaurepa re'a a zarazem dostarczają bardzo wymowny dowód, iż policja tajna, tak dobrze wyćwiczona w szkole drugiego cesarstwa zestarzała się, zniedołężniała. Jenerał w czynnej służbie opuszcza potajemnie swój posterunek, udaje się do Szwajcaryi na schadzkę z księciem Napoleonem w zamku Prangis — ona nie wie o niczem. Nie wie nic o podróży hrabiego Dillon do Londynu, o jego układach z hrabią Paryża. Niewiadomym jest jej również fakt podróży jenerała do stolicy nad Tamizą i jego pertraktacye z rojalistami. Natomiast ajenci z ulicy jerozolimskiej notują skrzętnie każdą wycieczkę Boulangera w towarzystwie pewnej damy na wieś, każdy obiad spożyty przez niedoszłego dyktatora u księżny d'Uzès, rozpowiadają plotki buduarowe niepogardzając nawet baśniami, wylęgłemi w przedpokoju, lub w loży portyera. Natomiast o układach i zobowiązaniach jenerała, o sumach, jakiemi tenże rozporządzał, nie mogą wiele powiedzieć. Rząd rzeczypospolitej musiał nieochybnie przyjść do przekonania, że droga instytucya policyi tajnej, bardzo niedbale pełni swe obowiązki.

Trudno rozpoznać w „Kulisach" co jest prawdą a co zmyśleniem. Natomiast z treści książki jedynie możliwą jest konsekwencya, iż jenerał łudził swemi przyrzeczeniami rojalistów, by w danej chwili ich się pozbyć, oraz, że ci ostatni identyczne zamiary żywili wobec Boulangera. Oszukujący i oszukani stoją dziś nad otchłanią, która pożarła tyle milionów a wśród tej smutnej grupy jedna tylko, głównie poszkodowana osobistość, zdaje się nie żałować wyrzuconej na próżno mamony.

Mamy na myśli księżnę d'Uzès.

Zaiste wzruszającą jest historya owej gonitwy za złotem, którego napróżno szukał hrabia Dillon, skarbnik stronnictwa. Hrabia Paryża hojnym był w obietnicach ale nieużytym w kwestyi pieniężnej. Podobnie zachował się stary książę Napoleon, który poprzestał na zapewnieniu swej gościnności jenerałowi na zamku Prangis. Dopiero Artur Mejer był tym szczęśliwcem, który odkrył złotodajną minę. Księżna d'Uzès dała 25.000 franków na pierwszy wybór Boulangera, następnie zaś 200.000 na dalsze wybory. Na tem poprzestała na razie.

Dillon był w rozpaczy. Oświadczył jenerałowi, iż hrabia Paryża zaofiarował na cele jego sprawy trzy miliony franków — tymczasem w kasie świeciła przeraźliwa pustka. Chodziło o wynalezienie owych trzech milionów. Zwrócono się do Rothschilda, który odmówił zaliczki na interes tak niepewny. Bezskutecznymi były też zabiegi u przywódców rojalistycznych — wszyscy dali odpowiedź odmowną. I znów uderzono do księżny, która całe trzy miliony oddała na cele zamachu. Co prawda żaden zamach stanu nie kosztował tak wiele. Talleyrand opowiada, iż jako minister dyrektoryatu przyjmował u siebie jenerała Bonapartego. Młody człowiek prawił mu o swych wielkich planach, zaznaczając równocześnie brak fortuny. Talleyrand pożyczył mu 100.000 franków i suma ta wystarczyła małemu kapralowi do zbudowania pierwszego cesarstwa. Zamach stanu Napoleona III. był o wiele droższym; pożarł majątek przyjaciółki księcia prezydenta, angielki Hovard, oraz składkę syndykatu przemysłowców paryskich — razem około miliona franków. W obec ogólnej drożyzny bulanżyści obliczyli koszta zamachu stanu na trzy miliony franków, i gdyby nie hojność księżny sprawa jenerała należałaby dziś do rzędu dawno zapomnianych faktów przeszłości.

Kobiety w sprawie tej, zakreślonej na tak wielkie rozmiary a zakończonej tak fatalnie, odegrywały bardzo ważną rolę. Obok księżny d'Uzès należy się wzmianka hrabinie Paryża. Z urodzenia hiszpanka, córka księcia Montpensier, miała spowodować swego wiecznie wahającego się małżonka do udzielenia jenerałowi swego moralnego poparcia. Chciała rządzić, być królową, gdyż znudziły się jej dostatecznie długie chwile wyczekiwania na angielskiem wybrzeżu. Gdy nie skutkują pięknie brzmiące manifesty, należało — zdaniem hrabiny — próbować szczęścia z Boulangerem. *Ce que femme veut, Dieu le veut* powiada przysłowie i hrabia Paryża wszedł z jenerałem w układy. Pieniędzy nie dał, gdyż wyręczyła go w tym względzie księżna.

Wątła, nerwowa, *sportswoman* w całem tego słowa znaczeniu, zamiłowana w jeździe konnej i w polowaniu — zresztą osoba zasługująca w zupełności na szacunek, uroiła sobie przyprowadzenie do skutku restauracyi tronu Ludwika Filipa. Znano ją ogólnie z dobroczynności, która zbliżyła u łoża boleści wykwintną damę wiel-

kiego świata z szaloną anarchistką. Ludwika Michel z przyjaźni dla księżny d'Uzès popierała kandydaturę Boulangera. „Nie lubię waszego Boulangera“ — pisała do księżny dziewica rewolucyi — „ale ze względu na panią bracia moi oddadzą mu swe głosy.“

Tak więc i Ludwika Michel pracowała na korzyść tego ulubieńca kobiet. Czyniła to bezwiednie, bardziej może bezwiednie niż księżna, która w razie restauracyi jako wdowa po pierwszym parze Francyi zajęłaby piewszorzędne stanowisko u dworu. Ta okoliczność jednak nie umniejsza zasługi jej ofiarności. Trzech milionów nie rzuca się na oślep i łatwo pojąć zdziwienie hrabiego Paryża, ktory powiadomiony o zamiarach księżny zawołał: alež to niemożliwe!...

Spotkanie księżny z hrabią miało miejsce w Koblencyi, owej dawnej kwaterze francuzkich rojalistów, i tu zrodził się projekt akcyi bulanżystowsko-monarchicznej. Ogromną tę sumę poświęciła księżna na cele restauracyi monarchii liberalnej. Liberalnej — powtarzamy z naciskiem, gdyż księżna acz przodująca dziś orleanistycznej arystokracyi, czuła się zobowiązaną do wdzięczności wobec dynastyi, która jej przodka, milionowego *bourgeois* wyniosła do rzędu parów. Hrabia Paryża wręczył jej wówczas wspaniały bukiet z róż i z goździków. Piękne słówka, kwiaty pachnące, tylko nie pieniądze — to także należy do tradycyi...

Pieniądz rządzi światem, ale sam pieniądz nie stworzy rządów. Miliony przepadły, bulanżyzm błąka się po Francyi gdyby senna mara a dawni sojusznicy, jak szczury zmykają z tonącego okrętu. I to wszystko sprawiła także kobieta. Kobieta ta nie bawiła się w politykę. Kochała jenerała i była wzajemnie kochaną. Pieniądz uległ w walce z miłością. — „Jesteś pani zakochaną czy też ambitną?“ — pytał tę kobietę Déroulède. „Jedno i drugie,“ brzmiała odpowiedź, która mimo swej szczerości była mylną. Kobieta ta była tylko zakochaną, chciała posiadać jenerała wyłącznie dla siebie i przeszkadzała mu w jego politycznej karjerze. Ile razy Boulanger odniósł zwycięztwo, ile razy oczekiwano z jego strony stanowczego kroku, tylekroć wyjeżdżał z panią swego serca do kąpiel. W chwili, gdy obecność jego była niezbędną we Francyi, uciekł wraz z swą towarzyszką na Jersey.

Tam też bawi, pilnując kołyski. Starzeje się i tyje — jak powiada księżna, która go brała na seryo, rokując wielką przyszłość dla tego człowieka. I ma zupełną słuszność: Szczęście samo się do niego garnęło, ale on lękał się je uchwycić; powodzenie osłabiło jego prawicę. Z jednej strony widzimy księżnę, hrabinę Paryża, Ludwikę Michel — z drugiej panią X... przyjaciółkę. Kobiety wyniosły Boulangera i kobieta go zgubiła. Szczęściem dla Francyi nie był to człowiek z rodzaju tych, którzy walą trony. Oszukał wszystkich. Pod jeneralskim mundurem kryła się dusza filistra, pod pióropuszem tail się umysł mieszczucha, tęskniącego do spokojnego, codziennego życia.

Akademja mowy światowej.

Wynaleziona przez Jana Marcina Schleyera mowa światowa „volapük“ istnieje obecnie już od lat jedynastu. Początkowo złośliwie wyszydzanej i z zaciętością prześladowanej, przysądzono nie wiele tylko sił żywotnych i przepowiadano krótkie życie w imponującym szeregu wynalazków dziewiętnastego stulecia. Wbrew atoli wszystkim proroctwom rozwinęło się świetnie to dziecię Schleyera i wzrosło już tak w lata i siłę, iż śmiało spodziewać się można, że w wieku dojrzałym cały dla siebie zdobędzie świat.

Już obecnie uzyskał „volapük“ obywatelstwo. we wszystkich krajach Europy a nadto w piętnastu państwach pozaeuropejskich. Wychodzący w Paryżu rocznik dyplomowanych znawców mowy światowej, Velabuk Pedipedelas, Paris 1889, Le Soudier, wylicza 674 miast, w których bądź uczą volapüku, bądź też czytają nim lub piszą. Prawie 700 rozmaitych publikacyi poświęcono idei wprowadzenia w życie mowy światowej w ogólności, lub też samemu volapükowi w szczególności, a Schleyer rozdał więcej jak 2000 dyplomów pomiędzy tęgich volapükistów.

Najdziwniejszem jest jednak, że istnieje wcale poważna ilość czasopism, które są wydawane bądź w czystym volapüku, bądź też mięszanym z mową krajową. Hamburgskie „Stowarzyszenie mowy światowej“ posiada całe roczniki lub też tylko pojedyncze numera 35 volapükowych gazet i czasopism. Z tych wychodzi siedm w Niemczech a to: dwa w Monachium, po jednym zaś w Berlinie, Wrocławiu, Hamburgu, Konstancyi i Allmendingen; pięć we Włoszech, a to: dwa w Medyolanie i po jednym w Neapolu, Palermo i Turynie; cztery w Danii a to: trzy w Kopenhadze i jedno w Aalborgu; cztery w Ameryce w Bostonie, St. Louis, Portland — Oregon i Portorico; dwa we Francyi i to oba w Paryżu; dwa w Anglii w Londynie; dwa w Austryi we Wiedniu; dwa w Szwajcaryi, a to po jednym w St. Gallen i w Zurychu; dwa w Hiszpanii w Guadalajam-Madrid, i wreszcie po jednym w Belgii w Antwerpii, w Holandji w Haarlem, w Szwecyi w Stockholmie, w Chinach w Amoy i w Japonnii w Yokohamie.

Podobnie jak wynaleziona przez Stephensona maszyna parowa uległa z biegiem czasu rozlicznym przemianom i poprawkom, zanim doszła do dzisiejszego udoskonalonego wszechstronnie typu lokomotywy, będzie też musiała i mowa światowa pod wieloma względami uledz ulepszeniom i udoskonaleniom. Powiększenie volapükowego słownika, zrozumiałe i międzynarodowe ustalenie wyrazów pierwotnych, końcówek, przyimków i spójników, będą jeszcze wymagały wiele szczerej pracy ze strony samego wynalazcy i wprawnych volapükistów, aby dzieło Schleyera tak wykończyć i wyposażyć, iżby zdołało odpowiedzić wszelkim wymogom, których słusznie od „mowy światowej“ żądać możemy.

Aby więc przy dalszej budowie i kształtowaniu się volapüku można jak najbardziej uwzględnić zapatrywania i słuszne życzenia poszczególnych narodów, założono **akademję mowy światowej**, której członkowie przy pomocy kongresów i pisemnego znoszenia się, oddają się żywej wymianie myśli i planów względem udoskonalenia i ustalenia volapüku. Z końcem roku 1889 liczyła akademia ta, której eta-

pem był dotychczas Paryż, trzydziestu i siedmiu członków, a to: pięciu w Austrji, czterech we Francyi, sześciu w Niemczech, czterech w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki, trzech we Włoszech, trzech w Anglii, dwóch w Rosyi, dwóch w Hiszpanii i po jednym członku w Belgii, Danii, Meksyku, Niderlandach, Portugalii, Rumunii, Szwecyi i Syryi. Wśród tych trzydziestu siedmiu akademików znajduje się jeden duchowny — sam wynalazca — dwadzieścia jeden profesorów i słuchaczy wyższych zakładów naukowych, trzech lekarzy, dwóch prawników, dwóch powieściopisarzy, dwóch inżynierów, trzech urzędników prywatnych instytucyi, jeden dyrektor muzeum, jeden dyrektor poczt, jeden oficer sztabowy i jeden kupiec.

X.

Z nowel Tołstoja.

Gaś ogień póki w iskierce.

Iwan Sczerbakow był zamożnym chłopem. W sile wieku, najpracowitszy gospodarz w całej wsi — miał on trzech synów, którzy mu pomagali w gospodarstwie. Najstarszy był już ożenioniony, dochodził wieku męzkości średni, — najmłodszy zaś wyrostek umiał się z końmi i pługiem niezgorzej obchodzić.

Była jeszcze Iwanicha roztropna i gospodarna kobieta, cicha a pracowita synowa. Nieczynnych w chałupie nie było, wyjąwszy ojca Iwanowego, który już siódmy rok biedaczek astmatyczny leżał na przypiecku. Iwan miał poddostatkiem wszystkiego, więc trzy konie ze źrebięciem, krowę z cielęciem i piętnaście sztuk owiec.

Kobiety obszywały cały dom i robiły w polu. Chłopi zaś, co do nich należało. Przy zwózce nowego zboża, było jeszcze starego dostatek.

Tylko żyć, a nie umierać.

Cóż, kiedy tuż był sąsiad, kulawy Gawrył, Gardeja Iwanowa syn, z nim nie było przyjaźni.

Jak długo żył stary Gardej, a ojciec Iwana jeszcze gospodarzył — wszystko szło dobrze. Trzeba było babom przetaka, czy niecek, zapotrzebował chłop żerdzi albo koła, to posyłali do sąsiada i wygadzali sobie wzajemnie. Zabłąkało się ciele do obory sąsiada, wypędzano je z tamtąd, mówiąc tylko: a baczcie lepiej na ciele! i nic więcej. Broń Boże, cokolwiek przed sąsiadem ukrywać, stodołę lub oborę zamykać, albo, co gorzej: skarzyć do sądu, to nie było w zwyczaju.

Tak było za życia starych. Inaczej zaś, gdy młodzi zaczęli gospodarzyć.

Zaczęło się od głupstwa jak zwykle.

Synowa Iwanowa zbierała jaja na Wielkanoc, wyjmowała codziennie świeże jajo z pudła telegi, która stała w stodole. Nic, tylko dzieci musiały raz kurę spłoszyć, ta schroniła się przez płot do sąsiada i tam zniosła jajo. Młoda kobieta usłyszała gdakanie i pomyślała: teraz niemam czasu, trzeba sprzątać chałupę na święta, później pójdę po jaje. Wieczorem idzie do stodoły, niema jaja w pudle. Pyta tego i owego, czy jaja nie zabrał. Każdy się wypiera. Ale Taraska najmłodszy szwagier powiada:

„Twoja kura zniosła jaje na podwórzu sąsiada, tam gdakało i z tamtąd przyleciała. Kobieta spojrzała na kurę siedzącą z zamrużonemi oczyma obok koguta na bantach, radaby ją zapytać, ale ona jej przecież nie odpowie... I poszła do sąsiadów.

Jak raz natknęła się na starą.

— Czego szukasz ma łodyczko?

— Moja kurka, babusiu przyleciała dziś do was, nie zniesła tu gdzie jaja?

— Nie widziałam na oczy. Nazbieraliśmy chwalić Boga naszych dosyć, cudzych nie potrzebujem. Nie wychodzim moja kochana, zbierać jaja po cudzych podwórkach.

To dotknęło młodą kobietę, rzuciła słowo, sąsiadka odrzuci, ta dwa, i wnet zaczęła się kłótnie.

Iwanowa żona przechodziła z wodą, wmięszała się tedy, Gawryłowa żona przybiegła coprędzej, skrzyczała sąsiadkę, przypomniała to, i owo, dodawszy nieco więcej, niż było. Jedno przez drugie krzyczało: „ty taka — ty siaka, ty złodziejka... a ty ladaczyca... ty flejtuchu... ty żebraczko... tyś nie zepsuła przetaka... a gdzie moje koromesło -- hę?... I chwytają za koromesło, woda się wylewa, zdzierają z siebie chustki, biją się. Aż tu nadjeżdża Gawrył z pola, ujmuje się za swoją. Rzuca się i Iwan, któremu syn najstarszy pomaga i zaczyna się bitka; chłop był nie lada, rozepchnął naciskających i Gawryłowi wyrwał snop brody. Zbiegła się wieś cała, z trudnością rozdzielono walczących.

Ot był i początek.

Gawrył zawinął swój snopek włosów w papier i pojechał do sądu.

Nie po to, rzecze, broda mi wyrosła, żeby mi ją Wańka, taki szubrawiec mógł wyrywać.

A jego kobieta chwali się przed kumoszkami, jako Wańkę zawieźli do Sądu i poślą w Sybir.

Od pierwszego dnia stary z przypiecka namawiał do zgody napróżno!

— Głupstwa robicie, mówił —a z głupstwa poczniecie, Bóg nie wie, jaką historję. Zważcie tylko, kłótnia poczęła się od jaja. Jeżeli dzieci i ukryły jaje, Bóg z niemi. Bóg da nam ich więcej. Padło złe słowo, przebacz i naucz, jak się ma mówić. Pobiliście się, grzeszni ludzie, oj, oj, i to się zdarza. Więc pogódźcie się i zapomnijcie o wszystkiem.

Młodzi jednym uchem starego słuchali, myśląc: ot, stary mruczy sobie, taj mruczy.

— Nie ja mu wydarłem brodę, twierdził Iwan, to on sam sobie wyskubał, a czy to nie jego syn podarł mi koszulę, ot!

Podał skargę z powodu koszuli. Skarzyli u Sędziego pokoju (mirowego) i w Sądzie gminnym. Tymczasem w czasie trwania sprawy zginął z Gawryłowej telegi duży gwóźdź dyszlowy. Gawryłowe niewiasty obwiniały o to Iwanowego

syna. „Sameśmy widziały, mówiły, jak nocą skradał się ku teledze, a kuma mówiła, że widziała, jak przejeżdżając, sprzedawał gwóźdź karczmarzowi.

I znowu skargi. A po podwórzach dzień w dzień kłótnie a czasem i bójki. I dzieci klną... ba, nauczyły się od starszych, zejdą się baby nad rzeką, to rzadziej słyszysz uderzenie pralnikiem, a bezustanne mlaskanie językiem to ciągle, a wsze ku złemu.

Z początku posądzali się nawzajem, to o to, to o owo; niedługo jednak, jak tylko co było niezamknięte, okradali się na prawdę. Za przykładem starych, poszły i dzieci.

Pożycie było coraz to gorsze. Iwan Szczerbakow i kulawy Gawrył, to na zgromadzeniach gminnych, to w Sądzie gminnym, u „Mirowego“, tak, że w końcu znudzili wszystkie instancje.

To z powodu Gawryła Iwan płaci grzywny, albo idzie do cienia, lub też przeciwnie. I im więcej szkody ponoszą, tem zawziętość ich wzrasta. To tak jak psy, im dłużej się żrą, tem wściekle]; uderzysz którego z nich z tyłu kijem, pomyśli, że drugi go ugryzł i ciska się jeszcze zajadlej.

Tak też i chłopi. Wodzą się za łby, każdy czując swoją tylko krzywdę, syczy: Poczekaj, ja ci to odpłacę! I tak szło przez sześć lat. Z zapiecka staruch odzywa się raz po raz do sumienia.

— Co poczynacie dzieci? Zapomnijcie przeszłe zwady, nie żółćcie się więcej, a wszystko będzie dobrze.

Nikt na starego nie zważa.

W siódmym roku niezgoda już do tyla dojrzała, że synowa Iwana na jakiemś weselu przy ludziach nazwała Gawryła koniokradem. Podchmielony Gawrył odpowiedział babie pięścia, ztłukł ją tak, że tydzień odleżała; a była przy nadziei. Któż opisze radość Iwana?... Wniósł do sądu skargę. „Teraz, myśli sobie, pozbędę się sąsiada, nie ujdzie Sybiru!“ Ale inaczej padło, Sąd nie przyjął skargi. Zbadano kobietę: wstała całkowicie zdrowa. Iwan pojechał do „Mirowego“; enże odesłał sprawę do Sądu gminnego. Iwan użył wszystkich sposobów, uczęstował pisarza i Starostę pół wiaderkiem słodkiej wódki i... dopiął przecie swego: Gawryła skazano na pletnie.

Więc pisarz czyta: Sąd Zawiadowstwa gminnego skazuje gospodarza Gawryła Gardejewa na 20 pletni.

A Iwan patrzy w twarz Gawryłowi.

Gawrył zbladł jak chusta, zwrócił się i wyszedł do sieni.

Iwan wychodzi także, by dojrzyć konia i słyszy, jak Gawrył mówi: „Dobrze, on każe chłostać mój grzbiet, to pali i ano, niech uważa, żeby u niego się też nie paliło!...“

Usłyszawszy to, wraca Iwan do sędziów: „Jasny Sędzio! On powiedział, że mnie spali, rzekł to przy świadkach“.

Wołają Gawryła — pytają go.

— To nieprawda! Po waszej stronie moc, bijcie mnie. Ja będę cierpiał za moją prawdę... toć on tu wszystko może... Chcę mówić więcej, ale usta tylko mu drgają kurczowo. Odwraca się do ściany. Nawet sędziów przeraził wyrazem swej twarzy. Żeby tylko sobie, albo sąsiadowi czego złego nie zrobił?...

I jeden z sędziów, staruszek bieluteńki powiada! „Posłuchajcie mnie, pogódźcie się. Czyś dobrze zrobił bracie Gawrył, bijąc kobietę przy nadziei? Dzięki Bogu, że ją ustrzegł — ale coby to był z tego za grzech!... Ot, przyznaj się do winy i proś go o przebaczenie. On ci przebaczy, ja ręczę. Zaraz oto spiszem protokół“,

Ale pisarz się zaraz wmięszał. Według §. 117 nie jest to dopuszczalnem. To nie będzie dobrowolna ugoda, lecz orzeczenie sądu, a takie orzeczenie musi być prawomocnem.

Ale staruszek sędzia nie zważał na to.

— Daj pokój, powiada, na darmo cię język swędzi. Pierwszy paragraf braciszku jest ten: Myśl o Bogu. A Bóg nakazał zgodę i miłość.

I jął namawiać chłopów, lecz wszystko bezskutecznie. Gawrył ani go słuchać nie chciał.

— Za rok powiada, skończę lat 50. mam zamężnego syna, nie bito mnie, jakem stary, a teraz mnie pletnie, to za tego szubjaka Wańkę do tego, i jeszcze go za to prosić o przebaczenie!. Ale dość tego... popamięta on mnie!...

I głos, mu drżał, nic nie mówiąc, wyszedł na dwór.

Było z dziesięć wiorst z urzędu gminnego do wsi. Iwan wrócił późno. Baby wyszły, aby spędzić bydło. Wyprzągł konia, wtoczył wóz i wszedł do izby. W izbie nie było nikogo. Synowie nie wrócili jeszcze z pola. Iwan siadł na ławę i zamyślił się. Przypomniał sobie Gawryła, gdy mu czytali wyrok, jak blady stał i odwrócił się do ściany. I serce w nim zadrgało. Coby to z nim się działo, gdyby go skazano na pletnie, jak Gawryła? Żal mu go było.

Stary na przypiecku zakaszlał mocno, obrócił się i spuściwszy nogi zsuwa się, zawlókł się do ławy i siadł. Zmęczyła go ta niezwykła podróż, wykaszlał się więc oparł na stole i pyta: „Cóż, zasądzili go?“

Dwadzieścia pletni.

Stary potrząsł głową.

— Źle czynisz Iwanie—aj, źle! I nie jemu, ale sobie źle robisz.

A jak mu zbiją grzbiet, lżej ci będzie?

— Na przyszłość będzie inszy.

— Inszy? A tyż, lepszy jesteś?

Iwan się rzucił.

— Mógł uśmiercić mi synowę! zawołał A teraz grozi, że mnie spali. Mam mu się może pokłonić za to?

Stary westchnął i rzekł: „Ty Iwan chodzisz po świecie, a ja leżę już siódmy rok na przypiecku, więc myślisz że widzisz wszystko, a ja nie? Nie chłopcze, to ty nic nie widzisz, bo nienawiść cię oślepiła. Nie widzisz swego pod nosem, lecz cudze pod lasem! He, gdyby to on tylko źle robił? Ale tu złe lęgnie się zawsze między dwoma, jego wady widzisz, jeno swoich nie. Ba, gdyby to on tylko mu wydarł brodę? Kto go wodził po sądach? I ty wszystką winę zwalasz na niego? Oj, nie tak chłopcze ja żyłem i nie tak was uczyłem.

(Dok. nast.)